



## PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

### Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

### Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY  
Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 8.  
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. 5 marek

## RAPTULARZ JANA CZECZOTA.

### SZKIC LITERACKI

Józefa H. Rychtera.

„Niema może szczęśliwszego stanowiska w naszej literaturze nad to, jakie w niej zajmuje Jan Czeczot. Skromne imię jego, nieprzebaczenie pominięte przez autorów historii naszej literatury, uszło niepokalane przed skalpelem tak zwanej krytyki.” Temi słowy rozpoczyna Jan Prusowski swój szkic biograficzno-literacki o Janie Czeczocie, zamieszczony w *Tygodniku Ilustrowanym* z r. 1860. I rzeczywiście, ów „mentor” ów „Kochany Janek”, przyjaciel i kolega szkolny Mickiewicza, pierwszy i „najtkliwszy” poeta epoki romantycznej, pomijany przez historyków literatury, tuła się tu owdzie w urywkowych tylko wspomnieniach i nie mamy dotychczas dokładnego obrazu, ani jego działalności poetycznej, ani kolei życia.

W dzieciństwie już łączyła Czeczota z Mickiewiczem wspólna ława szkolna w Nowogródku. Urodzony około r. 1797 we wsi Rzepichowie, w Powiecie Nowogródzkim—z ojca Tadeusza, podówczas administratora dóbr hr. Tyzenhauza—i matki z domu Haciskiej, uczęszczał do szkół Nowogródzkich, razem z Mickiewiczem, następnie był razem z nim w Uniwersytecie Wileńskim i jednocześnie z nim opuścił Litwę.

Po Adamie Mickiewiczem idą zaraz Tomasz Zan i Jan Czeczot; inni bowiem poeci nowej szkoły stoją mniej więcej oddaleni lub występują znacznie później. Mówiąc o złotej dobie poezji naszej, w cza-

sie wystąpienia Mickiewicza, musimy przede wszystkim zwrócić szczególną uwagę na Czeczota i Zana. Wpływu, jaki w szczególności wywierał Czeczot na całe grono młodych bojowników nowej idei, której przewodzący był Mickiewicz, nie można zbywać luźną tylko wzmianką. Słabe dotychczas zajmowanie się Czeczotem, jako autorem, da się usprawiedliwić tem, że cała literacka spuścizna po nim ograniczała się na pięciu tomikach *Piosnek wieśniaczych* (wydawanych w Wilnie, 1837—1846), których był gorliwym zbieraczem. Z prac oryginalnych Czeczota mamy tylko jeden skromny tomik: *Pieśni Ziemiannina*, wydane w Wilnie r. 1846, i nieco drobnych poezji rozrzuconych po czasopiśmie. W tomiku owym jednak, oprócz prac późniejszych, nie znajdujemy wcale utworów odnoszących się do doby pierwszej młodości, ani też do czasów wystąpienia Mickiewicza na obszerniejszą widownię. A przecież wiadomo nam ze *Wspomnień* Odyńca i Domejki i z listów samego Mickiewicza, że Czeczot czynnie uczestniczył w tym literackim ruchu i był jednym z głównych jego pobudzaczy.

W r. 1827 pisze Mickiewicz do Czeczota: „Mam ci przypomnąć dwie rzeczy: 1) jakim byłeś w pierwszych tygodniach nowicyatu.—Jeżeliś potem nabrał serca i sypał z rękawa piękne piosenki, zapytaj sumienia: czy to twoja zasługa, a raczej nie łaska niebios, które ci zesłały anioła pociechy.”

O tych „pięknych piosenkach” Czeczota nie dotychczas nie wiadomo. Obecnie mam pod ręką oryginalny raptularz poety, obfitujący w rozmaite wiersze i dłuższe utwory wierszowane, jak: ballady i romanse, powieści poetyczne, a większa ich część pochodzi właśnie z czasów uniwersyteckich.

Raptularz ten posłuży mi do wyjaśnienia stanowiska Czeczota jako poety owej doby, w której padły pierwsze ożywcze promienie nowej poezji.

Raptularz (*in folio*) jest własnością p. Adolfa Kobylińskiego, z Cieszewli, w Powiecie Nowo-

gródzkim, krewnego Czeczota; liczy 140 kart. Na pierwszej karcie znajduje się napis: „Manuskrypt” zaś na drugiej: „Zbiór różnych pism wierszem i prozą” i data: „20 Maja r. 1808”.—Jest to, zdaje się, raptularz familijny Czeczotów, albowiem znajduję na pierwszych kilkudziesięciu kartach odpisy rozmaitych dokumentów i wiersze dawniejsze, pisane prawdopodobnie ręką Czeczota-ojca. Druga połowa raptularza zawiera poezye z lat szkolnych, a jest nieco i z późniejszych. Wszystkie poezye pisane są własną ręką poety, jedne wcześniej, w latach młodzieńczych, drugie znacznie później. Wskazówkę daje tu pewna, mała wprawdzie, różnica w charakterze pisma. Rękopis porównałem z autografami Czeczota znajdującymi się w Bibliotece Ossolińskich we Lwowie.

\* \* \*

„Bezwątpienia, przyjemnie jest dziś—pisze Domejko—przypomnieć owe posiedzenia, które z wielką powagą zagajał Jeżowski, na których Pietraszkiewicz czytał dobrze zredagowane akta, Mickiewicz swoją *Grażynę* i *Hymn*, Jeżowski, Kowalewski, Małewski, swoje pierwsze filozoficzne, filologiczne i prawne próby; Sobolewski, Budrewicz matematyczne, Zan i Czeczot literackie, a częstokroć żartobliwe, krotofilne utwory.” Odzwierciedleniem owych chwil szczęśliwych jest wiersz Mickiewicza: „Już się z pogodnych niebios... i t. d., (pisany d. 14 Września 1818 r.). Wiersz ten, jakkolwiek oddany jeszcze w formie klasycznej, świadczy już o świadomości dążeń młodzieńczych.

Gdy nowe tworzę gmachy na nowej posiadzie,  
Gdy nasz trud równie wielki, cel równie szlachetny

Oby kiedyś świat cały zgodnie, wiążąc dłonie,  
Nasze wziął godło!.. i t. d.

Drogą do celu miała być głównie praca około podniesienia oświaty. Życie istotne objawiało się, nie podczas czytania utworów i rozpraw na wspólnych posiedzeniach, ale w nieprzerwanych stosunkach jednych z drugimi. „Godziny wolne od pracy, przechadzki w okolicy Wilna, wieczory zimowe schodziły im na projektach, odczytach i naradach.“ Niekiedy przepędzano ze sobą noc całą aż do białego dnia. Ruchowi umysłowemu przewodniczyli: Zan, Mickiewicz i Czeczot.

Zan pierwszy zaczął pisać ballady; z początku słabe, później coraz lepsze. W liście do Maryi Puttkamerowej wymienia on wszystkie swe ballady i innego rodzaju poezje, o których powiada, że: „większa ich część, poprzedziła sławę jego kolegów i uczniów“ a więc odnoszą się te poezje bezwątpienia do czasów uniwersyteckich. Czeczot jeszcze przed przybyciem na uniwersytet zbierał ludowe piosenki i pracę tę później wytrwale dalej prowadził. Własne też jego poezje mają w sobie wiele rzewnego liryzmu i sielskości. Z nich zdobyła sobie szczególniejszą popularność obrzędowa piosenka przy wznoszeniu toastu: „Bodaj to złote wieki,“ napisana wyłącznie dla Zana; dalej powinszowanie Mickiewiczowi w dzień jego imienin, ułożone w formie ludowej piosenki tudzież piosenka śpiewana na jednej z majówek, a raczej „kwietniówek“ — jak mówi Domejko — „bo Przewodnia Niedziela przypadła w Kwietniu i chcieliśmy tego dnia mieć wspólne święcone.“ Początek tej mało znanej piosenki, charakteryzuje niejako stanowisko Filaretów:

Wstał pan Kwiecień z martwych ninie,  
Uweselił lud swój mile,  
Co wiódł zimą nudne chwile— } *bis*—chór.  
Aleluja! aleluja!

Jest tu mowa o cnotach zaszczycających młodzież, że „lubią nauki,“ że „nie żyją jak próżniaki“ że są „dobrymi Lechitami“ że:

Piszą co kwartał roboty  
I dają co miesiąc — *złoty!*

— „Po tej zwrotce — pisze Domejko — porwali kolledzy Jana na ręce i o mało go z miłości nie uduśli.“

Pisał Czeczot również niemalą ilość miłosnych wierszyków, w których przedmiot uwielbienia była piękna Zosia Malewska, młodsza siostra kolegi Franciszka Malewskiego.

Podług Zana, każdy przedmiot wyraża się w oku osobnym „promionkiem;“ trzema zaś najpiękniejszymi promionkami duszy ludzkiej są: piękność, czułość i niewinność. Tworzą one jakby aureolę duszy, która, gdy się zetknie z podobną sobie, tworzy harmonię uczucia. — „Kiedy się zdarzy, że jakaś zachwycająca postać jest mieszkaniem duszy cnotliwej (pisze Stern w „swoich rozdźwiękach“) — kiedy regularność i słodycz rysów objawia piękność duszy i kiedy te zalety podnoszą myśl człowieka aż do twórcy natury, ach! ileż się wówczas da powiedzieć i o piękności i o sztuce jej uwydatnienia!“

Tak promionkowo—platonicznie kochał się Zan w pannie Felicji Przetyszewskiej, a Czeczot w Zofii Malewskiej.

Raptularz Czeczota obfituje w wiele bardzo ciekawych wierszy, odnoszących się do tego miłosnego stosunku. Pierwszych z nich jest: *Portrecik mojej dziewczyny*. Poeta na wstępie przytacza słowa Schillera: „Lächelst du? Nein! Nichts hab' ich verloren, etc.“ (*Vorwurf an Laura*)—poczem opisuje swoją „dziewczynę“

Figurka nie duża —  
I niższa odemnie  
I tak jako róża  
Pachnąca przyjemnie.

Jest ona smukłej kibici, filigranowa, ma prześlicznie toczony biust; usposobienia jest wesołego „pogoda błyska z jej oblicza.“ Chcąc opisać jej uśmiech, muza poety nie wzbija się ponad czterowiersz:

Nigdy nie widziałem  
Nic jemu równego,  
Może w świecie całym  
Nie masz podobnego!

W dalszym ciągu wiersza snuje poeta swoje pragnienie:

O, gdyby skraść można  
Całuseczek mały —  
Wyobrażam próżno —  
W niebie byłbym cały!..

Rozkoszując się dalej „ciemnymi jej włoskami“, które spadały na jej „piersz perłową“ — kończy rzewnymi a silnymi słowy:

Ja siebie nie panem,  
Ja w niej cały żyję!..

Po *Portreciku mojej dziewczyny* następują dwa portreciki przyjaciółek, napisane z humorem.

## I.

Nic w ustach nie miałem,  
Gorycz—kawy szklanki,  
Kiedy malowałem  
Obrazek *kochanki*.

Teraz pół szklanicy  
„Francuza“ machnąłem;  
Zdrowie czarownicy!..  
I kreślić zacząłem.

Gdy źle portret zrobię,  
Gdy źle odmaluję,  
Niechaj „Francuz“ sobie  
Za mnie pokutuje!..

Przyjaciółka ta równą jest — z poeta — „co do wzrostu“ każdy jej ruch—zgrabny bez przymusu; w twarzy przebija się słodycz. Jest wprawdzie „zbyt szczupłego ciała“, ale niedziw — bo ciało „zabrała dusza...“ Oczywiście ma melancholijne...

Z boskiego wyroku,  
U tego anioła  
Cała piękność — w oku! —

Poeta porównywa w dalszym ciągu wiersza ową przyjaciółkę ze swoją kochanką — i mówi:

Uśmiechem nie zrówna  
Mej lubej dziewczycy! —

Prawdziwa, „promionkowa“ miłość ma swój początek — w oku, więc poeta mówi, że w oku jego bogdanki „mieszka niewymowna słodycz“ — a jej spojrzenie? — Znowu takie jak uśmiech tamtej:

Nigdy nie widziałem  
Nic jemu równego,  
Może w świecie całym  
Nie masz podobnego! —

Kreśląc obrazek drugiej przyjaciółki, wraca poeta mimowolnie do pani swojego serca:

Jest to jej siostrzyczka —  
Co się mnie dotyczy, —  
Choć ładna twarzyczka  
Niżej lubej liczę!

W obrazku tym, jak w dwóch poprzednich, opisuje wdzięki i zalety moralne tej drugiej swojej przyjaciółki.

W wierszu: *Szczerzy żal za grzechy* przeprasza poeta „nadobne panie“ za nieudolność „pęzła“ w malowaniu ich portrecików. Wie jednak, że nie będą się one na niego bardzo gniewały — gdy pisze:

Kto chce mieć u kobiet łaski,  
Może wszystko bez niesnaski  
Chwalić, ganić, — ganić, chwalić,  
Ale, ho! ich wdziękom palić.

W wierszu: *Chłopiec nad strumieniem* brzmi rzewna nuta smutku poety:

Nie pytajcie czem nędzieję  
W kwitnącym chwil moich czasie:  
Každy wesół—ma nadzieję,  
Wiosna w nowej wraca krasie;

Ale te tysiączne pienia  
Ocknionej ze snu natury  
Z głębi piersi rwą westchnienia  
I wloką smutek ponury!..

Jak do mnie radość przystanie  
Którą wiosna ofiaruje?...  
Jednej szukam bezustannie

Upragniony ściągam dłonie,  
Chcąc schwycić jej drogic cienie —  
Nie doścignę, nie dogonię —  
W sercu wieczne, ach, pragnienie!..

Poeta wznosi błagalną prośbę:

Znijdź tu, piękna, złota, młoda,  
Opuść dumne twe podwoje —  
Kwieciem, co mi wiosna poda,  
Przyozdobię wdzięki twoje!  
Słyszysz, jak brzmią pieśnią gaje,  
Jaki wdzięk w strumienia szmerze?  
Miejsca dość chateczka daje  
Tym, co się kochają szczerze.

Mimo, że ową „promionkową“ miłość uważają nasi teoretycy jako wyskok młodzieńczej fantazyi ówczesnych poetów, jednakże nie da się zaprzeczyć, że owa promionkowość, u niektórych zamieniła się w trwałe, czysto-ludzkie uczucie miłości — a mamy dowody, że u Mickiewicza, Zana i Czeczota przybrała ona potężne rozmiary i stanowiła w ich życiu — epokę.

Ani Mickiewicz swojej Maryli, ani Zan Felii, ani Czeczot swojej Zosi, nigdy zapomnieć nie mogli... Czeczot śpiewa:

Czuję za siebie,  
Za drugich czuję,  
A tu, nie w niebie,  
Piekiło znajduję;  
Jedna myśl słodka  
Boleść mą goi:  
Że z nią się spotła,  
Gdy o niej roi!..

(*Wiersz do motyla*).

Zwykły śmiertelnik nie pojmie dokładnie tej rozkoszy, jakiej doznawali wspomnieni poeci w uczuciu owej „promionkowej“ miłości. O tem można mieć mniejwięcej przybliżone pojęcie z ich własnych utworów poetycznych, w których śpiewają owe momenta. Rozstrzyga tu głównie subtelność pojęć odczuwającego — i znajomość warunków, w jakich znajdowali się nasi poeci w stosunku do swoich bogdanek. W danych warunkach nie mogli nawet marzyć o „chateczce“ ci, „którzy się kochali szczerze“: tyle więc było ich szczęścia, ile chwil przemarzyli. Ale Mickiewicz, Zan i Czeczot, — ta świetna trójka przyjaciół, zakochana, cierpiąca i pocieszająca się wzajemnie — jakież szczytne dała wyraz niepokalanemu uczuciu miłości; jak promiennie, ożywczo i moralnie wpłynęły ich szczytne pojęcia na cały zastęp młodzieży — i jak świetnie ujawniły się one w naszej poezyi!

Stosunek miłosny Mickiewicza do Maryli, którego duchową treść najdokładniej znali Zan i Czeczot, stanowiąc będzie po wieczne czasy wzór piękna i wzniosłego charakteru poety.

Do tego czasu odnosi się wiersz Czeczota:

„Do Maryli“ (Maryli borek), który znajduje w Raptularzu <sup>1)</sup>).

Za rzeczką, pośród czystego pola, wznosi się mały pagórek porośły sośniną. — To borek Maryli. Tu, przebywa ona „w chłodne ranki i wieczory“ i swoją „pieszczoną rączką“ krzesze gałązki lub przecyzyszcza kory... a czasem „sadzi jedlinę zieloną“. — „Czemuż, podobna majowej róży — nie sadzisz gajów różowych?“ — zapytuje poeta — i odpowiada:

Snadź duszę tkliwą masz i widoku  
Szukasz smutnego w tej ciszy,  
Gdzie wolno łzami zalać się oku,  
Gdzie nikt twych westchn eń nie słyszy.

Ach, wiedz, Marylo, kto duszę tkliwą  
Wziął od natury w podziale,  
Ten jedną chwilę życia szczęśliwą  
Przez wieczne oplaca żale..

Podpatrzył poeta smutek „niebieskiej Maryli“ a jako przyjaciel i powiernik Mickiewicza czuł obowiązek uspokoić ją i dawać szczerą radę.

Kto swe nadzieje kopie w mogile,  
Siebie zagrzebał swą ręką —  
Odebrał sobie weselne chwile  
I drugich nabawił męką...

Trzeba poprawy — bo sama widzisz,  
Że tak żyć jest nie do rzeczy;  
Często się sama swych uczuć wstydzisz...

Radzi dalej „Marylce“, aby wytrwała i uczucie uświęciła we wspomnieniu. — A wracając do borku, w którym widział ją, przechadzającą się i pogrążoną w smutku, kończy:

... racz, błagam,  
Dać tu mej drzewko pamięci,  
Byś przypomniała, czego wymagam,  
Tłómacząc braci mych chęci...

Czczot ma tu zapewne na myśli — Mickiewicza i Zana, których „chęci“ (życzenia) tłómaczył nadobnej Maryli.

(Dalszy ciąg nastąpi).

## WYSTAWA PRACY KOBIECEJ.

(Dokończenie).

Rzemiosłowe szkoły kobiece wiążą się bardzo ściśle z przemysłem domowym, któremu przychodzą z poparciem i z pomocą wielką, pozwalając w warunkach przystępnych każdej chętej do tego kobiecie uzdolnić się w tych gałęziach pracy, które dawniej rzadkokiedy i chyba wyjątkowo na dział pracy domowej zaliczaniemi były. Pomagają one zarazem żyć o własnej sile tej samotnej, której los nie dał szczęśliwie zapewnionego istnienia wśród rodziny i kazał samodzielnie torować sobie drogę między ludźmi. Rozwój szkół rzemiosłowych dla kobiet datuje głównie od Wystawy Powszechnej w Paryżu 1867 r. Szlachetna filantropka francuzka: Pape Corpentier, była główną ich orędowniczką i opiekunką, w czem wspomagał ją gorliwie ówczesny arcybiskup paryzki, widząc w rozszerzonym zakresie pracy środek,

ułatwiający kobiecie niezamożnej a samotnej życie uczciwe, w pracowitej godności wiedzione. Rzemiosłowe szkoły kobiet powinny też być uważane za instytucje użyteczności publicznej, jeżeli tylko umiejętnie z zadania swego się wywiązują, co obecnie po kilkunastu latach doświadczenia jest rzeczą o wiele łatwiejszą, niż wtedy, gdy myśl nowa, urzeczywistnienia sobie szukająca, nie umiała odrazu właściwego zastosowania w praktyce znaleźć. Jest tak zwykle z nowością każdą, zwłaszcza, że tu rzecz została początkowo postawiona na gruncie teorii spornych i wiele osób widziało w tem rozszerzaniu pracy kobiecej zachcianki emancypacyjne.

Nie mieliśmy przytem żadnej Pape - Carpentier.

Był przecież zastęp kobiet odważnych, głównie z podupadłych klas wyższych, które, łamiąc przesąd, zapragnęły na trudne próby życia uzbroić się w pracę. Praktyka wykazała jednak, że nie każde z tych rzemiosł, których kobieta jest zdolną się wyuczyć, może następnie stać się jej pracą zawodową, wymagającą trwałego wydatku sił. Doświadczenie dało też rzemiosłowym szkołom kobiecym pouczające w tym kierunku wskazówki i na wystawach urządzanych przez *Muzeum Przemysłu*, gdzie praca kobieca występowała stale wśród ogólnej produkcji kraju, uwydatniło się ciążeń do tych zajęć przeważnie, którym siła kobiety poddać może bez zmęczenia organizmu. Obecnie przecież chodzi o rzecz niemniej ważną: a to, aby pracownice były uczone dobrze, systematycznie i uczyć się tak chciały: gruntownie, cierpliwie, nie śpiesząc się nadmiernie, nie pragnąc rwać pracy swojej owoców — niedojrzałych...

Nie ma kołaczy bez pracy. Każda gałąź wytwórczości: wyższa, niższa, wymaga należytego nakładu: kapitału czasu i pracowitego trudu kształcenia się, od którego procentem jest następnie praca doskonalsza lub pośledniejsza.

Założeniem tegorocznej wystawy *Muzeum Przemysłowego* jest przedstawienie całkowitego obrazu pracy kobiecej w kraju. Nieusuwanie się od niej takich osobistości, a szczególnie szkół, którym głos ogółu przyznaje tu stanowisko wyższe, doskonalsze osiągnięcie celu w kształceniu kobiety do prac zawodowych, jest poniekąd obowiązkiem obywatelskim, od którego cofać się nie godzi.

Wystawa — powtarzam — to nauczanie się wzajemne, wzajemne obznajmianie ze sposobami pracy, składającej się razem na ważną gałąź przemysłu krajowego, na środek pomysłowości całej jednej warstwy kobiet: czyż więc godzi się pozostawać wobec tego na stronie, trzymać się na stanowisku obojętnem, czy leniwem?

Na wystawie odzieży i sprzętów domowych w 1886 r., obok szkół zawodowych jedna tylko wyższa szkoła panien wystawiła przez przełożoną swoją p. Bronisławę Leśniewską, okazy pracy ręcznej uczennic: szycie białe, które przedstawia praktyczną, poważną stronę pracowitego trudu kobiety w rodzinie, użytecznego przemysłu domowego. Życzyłoby sobie należało, aby ten dobry przykład obudził chęć naśladowania. Czasy są ciężkie; uzdolnienie kobiety na pracowitą domu swego gospodynią, zawsze pożądane w edukacji dziewcząt, dziś ma znaczenie zdwojone, przytem dla kobiety w rodzinie, nigdy się nie przestarzeje ten stary tytuł do chluby szlachetnych Rzymianek: — Domu strzegła, wełnę przędła....

Z tej przędzy była toga męża, była pretexta syna: było przyłożenie ręki kobiecej do dobrobytu rodziny i podzielony małżonki z małżonkiem trud dźwigania ciężarów. To jest najpierwsze równouprawnienie kobiety, to jest postawienie się jej na jednym z mężczyzną poziomie.

Do obowiązków pani wiejskiej, do obowiązków tej natury, jakie ma i mieć zawsze będzie ukształcona istota ludzka, znajdująca się wśród tych, którym tego brakuje, zaliczyłabym zajęcie się przesyłaniem na wystawę okazów pracy kobiet wiejskich. Jak jednostce pojedynczej, tak i społeczeństwu, krajowi, potrzeba jest znać mienie swoje: zasoby posiadane i czyż wystawa nie jest właśnie środkiem do tego wiodącym? Nie trzeba tylko zajmować w poglądzie na nią poziomego

punktu widzenia, że względem zwróconym przeważnie na swoje ja: nie trzeba widzieć w tej sprawie jakiegoś pola popisu, na którym nasza miłość własna ma odnosić tryumfy i mogłaby boleć przez uczucie zawodu, jeżeli zadowolenia tego nie otrzyma. Tu powinno przewodniczyć nam coś innego, niż próżność: ten interes ogólny, który we wszelkich sprawach już publicznych stać powinien na miejscu pierwszym, a obok tego należy zrozumieć, że wystawy nie mają bynajmniej na celu przedstawiania osobliwości, tak, jak naodwrot nie powinny być „rozpościeraniem nędzy“, jak się to zdarzało początkowo, przy wystawie niektórych szkół rzemiosłowych.

Możeby należało dla usystematyzowania tego pracy kobiecej examinu, aby panie wiejskie każdej okolicy naradziły się między sobą wzajemnie, tak, co do własnych okazów, jak i co do wskazówek potrzebnych właściankom, a to w celu, aby przemysł pracy kobiecej ich stron przedstawił rzeczywisty pracy tej obraz: aby nie powtarzały się takie, naprzykład, wypadki, jak na *wystawie odzieży i sprzętów* w 1886 r., która nie okazała ani kawałka płótna domowego wyrobu i ściągnęła na kobietę naszą ze strony prasy zarzut braku wśród prac kobiecych rzeczy użytecznych, a zbytek różowości atlasowych. Wprawdzie zeszłoroczna wystawa tkacka liczyła sto kilkadziesiąt wystawczyń, którym przyznano 33 nagrody. Jedną z pomiędzy nich, zacna p. Emilia Korsakowa z Annińska, otrzymała podziękowanie od komitetu za domową fabrykę sukna, a dwa dyplomy uznania zostały przyznane paniom, obywatelsko-dobrej woli, za wystawienie wyrobów właścianek swojej okolicy (p. Ochenkowska Marya ze Skrzeszewa, hr. Zamojska z Podzamecza). Poprawiło to złą opinią kobiety naszej zaniedbania się w pracy użytecznego przemysłu domowego, w chęci popierania go wśród klas pracujących, co przecież stanowi cel wystaw *Muzeum Przemysłowego*, przedsięwziętych z poczciwym względem na dobro ogółu.

Towar fabryczny wciska się tak do chat, jak do dworów, z tysamym skutkiem, ujemnie oddziaływającym na dobrobyt rodzin. Udział właścianek w wystawach jest już ztąd najmocniej pożądanym, że sam fakt wystawiania ich wyrobów na widok publiczny, wyrobów tych wartość w oczach producentek podnosi, a współdziałał w przedsięwzięciach szerszego społecznego znaczenia wywiera wpływ cywilizacyjny. Pol to chciał wyrazić w słowach: — „A gromadą zawsze... gromadą.“

Do gromady przypozywana jednostka ogląda się wkoło siebie i zastanawia: zaczyna myśleć i wyrabiać sobie pojęcie o ogólnej pracy.

Jest przecież jeszcze potrzeba dla wieśniaczek naszych nietylko zachęty, ale i takiej pomocy w przesyłaniu okazów na wystawę, z jaką pospieszyły poczciwe w roku zeszłym dwie, wyżej wymienione panie. Jeżeli też znajdzie się najpierw ta zachęta, następnie ta pomoc, można się spodziewać pożądanego skutku, a gdyby każda strona kraju nadesłała wyrobów wieśniaczych komplety pewne, ich charakterystyka, ich styl rodzimy mogłyby niewątpliwie stać się znaczącym przyczynkiem do studyów etnograficznych.

Wystawa mogłaby przyjąć z pomocą jednemu jeszcze pożytecznemu przedsięwzięciu. W roku zeszłym, w numerach *Wisty* z Lipca, Sierpnia i Września, p. Rafał Lubiec podniósł kwestyę zachowania przed zagładą czasu naszych wiejskich ubiorów ludowych, w tych zwłaszcza okolicach, graniczących z Niemcami, gdzie handlarze, chciwi zarobku, podsuwają wieśniakom brzydką tandetną odzież, rugując przez to z użycia nasz swojski strój ludowy, z charakterystyką naszego smaku, z piętnem naszym plemiennym. Tensam autor podniósł raz jeszcze kwestyę tę w *Kaliszaninie*, zwracając się do kobiet i stawiając im jako obowiązek „zachowanie tej właściwości naszej dla przyszłych pokoleń, dla dobra nauki, dla badań ludoznawczych“. Wzywał, aby z tym celem rysowały, malowały, a najlepiej wygotowywały ubiory nasze ludowe w miniaturze, ubierając w nie przy wiernem zachowaniu kroju, kolorów i wszelkich ozdób, lalki, na pięć ćwierci łokcia wysokie i odsyłały je do zarządu Ogrodu Zoologicznego

1) Stosunek Czeczota do Maryli, późniejszej pani Puttkamerowej — opisuje p. Wł. Belza, (opierając się na „wspomnieniach“ Odyńca) jak następuje: „Znał to do siebie Mickiewicz, że nie był panem swoich uczuć: to też nigdy nie był sam u Puttkamerów, ale zawsze w towarzystwie Czeczota albo Zana, którzy nie omieszkali zapewne rozsądnym wpływem swoim hamować wzburzonej imaginacji poety.“ (Sprawozd. bibliot. Ossolińskich „Maryla“. Lwów, 1885).

w Bagateli. Przecież już poprzednio, bo w 1886 na wystawie odzieży i sprzętów domowych, jedna z wystawczyń, p. Korycińska Alexandra, wystawiła trzy lalki w ubiorach wieśniaczych, Mazurkę, Krakowiankę, Podolanę, także z tą samą myślą, którą podniósł korespondent *Wisły*, tylko stawiającą się energiczniej: wzywając kobiety, aby przeciw ubożącemu nas wielorako napieraniu pracy niemieckiej postawiły swoją pracę i odparły zgubne, wynaradawiające nas działanie przemysłu niemieckiego, wytwarzając odpowiedni temu nasz własny przemysł. Kobieta poszukuje sobie fraszobliwie nowych dróg pracy, usiłując przyswoić sobie te nawet rozmaite jej gałęzie, które dotąd były przeważnie w ręku męzczyzny, co można nazwać współubieganiem się bardzo smutnem, bo gdy mężczyzna, pracy pozbawiony, nie założy ogniska domowego, pozostanie gdzieś samotnie ta jedna, któraby tu była małżonką i gospodynią, szczęśliwą według praw przyrodzonych matką rodziny. Ale gdy kobieta, robotnica odważna, zagrozi przez pracowitość swoją drogę przemysłowi zagranicznemu, gdy, jak w tym razie—stanie w poprzek niemieckiemu: „Drang nach Osten”, przyłoży się do rozszerzania pracy w kraju, zyska obok tego coś więcej jeszcze, niż grosz pracowicie zarobiony. P. Alexandra Korycińska wystawiła lalki w strojach ludowych z zamiarem, aby kobiety nasze jęły się wyrabiania ubiorów ludowych, zagradzając w ten sposób drogę towarowi niemieckiemu: gotowej odzieży wieśniaczej, która wielkimi partjami wchodzi do nas z zagranicy. Pocziwiej tej myśli inicjatorka pragnęła nawet, aby między młodemi jej uczennicami krawiecczyni powstała myśl zawiązywania spółek pracy takiej poświęconych. Chcąc przytem, aby i szersze koło kobiet przyłożyło rękę do tej pracy, wystawiła owe lalki charakterystyczne, wykonane w jej zakładzie.

Aby potrzebna tu wierność w stylu i szczegółach utrzymana została, wykonanie lalek powierzone było uczennicom pochodzącym z okolic, których typy ubiorów wiejskich odtwarzały.

Zwiedzająca publiczność okazywała zajęcie życiwe dla tych ładnych manekinów; czy jednak myśl p. Korycińskiej wydała jaki owoc? nie wiadomo. Nadchodząca wystawa mogłaby przecież uczynić wiele dla jej podniesienia, łącząc to z żądaniem przez p. Rafała Lubicza wytworzeniem kolekcji ubiorów ludowych na lalkach, używając na ich odzienie tych samych materiałów i przystrojów: taśm, guzików, spinek, szameruuków, pasów tkanych, jakich lud odnośnych okolic używa, lub używał niedawno, zanim je wyparł nieszczęśliwie handel zagraniczny, jak to ma już miejsce w pewnych powiatach stron płockich i kaliskich. Niechby w każdym powiecie znalazły się dwie trzy kobiety dobrej woli i gorącego serca, któreby, pojmując praktyczną oraz naukową ważność rzeczy, zniósł się ze sobą i wspólnym kosztem, wspólnemi siłami wykonawszy cztery lalki w strojach ludowych: mężczyzny, kobiety, małoletniego chłopca i dziewczynki, przysłały je na wystawę, jakieżby to było użyteczne dzieło zbiorowej pracy kobiecej! jaki zbiór cenny! Pozostałby on niewątpliwie zachowanym, czy przez Zarząd Ogrodu Zoologicznego, czy przez Komitet Muzeum Przemysłu, gdzieby było może najwłaściwsze dlań miejsce ze względu, że osoby pragnące zeń korzystać praktycznie, w celach użytkowania myśli p. Korycińskiej, znajdowałyby tu wzory gotowe dla tej dobrej pracy swojej.

Tak jest łatwym sposób wykonania rzeczy bardzo dla społeczeństwa naszego ważnej, bardzo pożytecznej, iż niemal już wierzę, że podjęta zostanie, że ją oglądać będziemy. Żadne imię chrześne nie jest u nas tak rozpowszechnionem, jak Wandy i gdyby też wszystkie Wandy, rozsiane po wsiach i miasteczkach naszych, stanęły tu do pracowitego szeregu i zabrały się do roboty?

Dla względów wyraźnego oddania szczegółów i ztąd potrzebnej tu nieodzownie wierności, oraz dla pewnej harmonii między nadsyłaniem lalkami, należałoby ogólnie przyjąć proponowaną przez p. Rafała Lubicza pięććwierciową wysokość lalek męzkich, zniżając je o głowę dla lalek kobiecych, a dziecinny dając wysokość czterech ćwierci. Należałoby również dołączyć do każdej,

jak tego chce p. Lubicz, oznaczenie granic miejscowości, gdzie przedstawiony ubiór jest lub był upowszechnionym, oraz spis tak pojedynczych części ubrania podług nazw ludowych, jak i materiałów używanych na nie. Jeżeli ubiór jest sporządzony z samodziąłu, trzeba dodać ile możności dokładny opis jego wyrobu, oraz wyszczególnienie, kto się nim zajmuje i jak licznie?

Dla pracy kobiet, zwłaszcza domowej, wystawy, mogą mieć i pod względem handlowym znaczenie wielkie: dowodzi tego początek zbytu, który dla naszych wyrobów otworzył się w Anglii. Pani Giedgudowa zobaczyła na wystawie w Galicyi owe białe, złotem i srebrem haftowane, z Galicyjskiego Podola pochodzące tkaniny wełniane, z których suknie stały się obecnie modnemi wpośród dam angielskich sfery najwyższej. A przydarza się tu sposobność zaznaczenia, że domowy przemysł kobiecy, na którego rozwój pismo nasze kładło od początku swego istnienia nacisk szczególny, wykazywać teraz zaczyna swoją niezastąpioną ważność nawet w krajach z najbardziej rozwiniętym przemysłem fabrycznym, bo w Anglii. „Home Industrie”, „Village Industrie” to dziś hasło rozlegające się najgłośniej dla pracy kobiecej, nietylko już z tych wielkich względów, które są moralną stroną rzeczy—dla utrzymania szczęśliwego domowego ogniska, dla wychowania dziecka i uczciwych obyczajów kobiety. Ludzie, zajmujący się tam ekonomią domową jako gałęzią ekonomii narodowej, doszli do przekonania, że praca kobieca w przemyśle domowym opłaca się pracującej o wiele korzystniej, niż zarobek otrzymywany za pośrednictwem pracy pozadomowej. Jak u nas komitet Muzeum Przemysłu odznaczył najwyższym wyrazem uznania domową fabrykę sukna p. E. Korsakowej, tak w zeszłym roku domowa dystrylarnia znajdująca się we wsi Wallington, w pobliżu Londynu, w obwodzie Surrey, a prowadzona też przez kobietę: miss Sprules, zyskała podobnie wyszczególnienie zaszczytne za fabrykowanie pachnidła i wód aromatycznych, pedzonych z kwiatów i ziół pachnących, których uprawie miss Sprules oddała całe łany gruntów swej wsi.

Ludzkość podobnie jak człowiek pojedynczy, musi doświadczać, aby zdobywać sobie wiedzę złego i dobrego. Po forsownem emancypowaniu kobiety z prac gospodarstwa domowego, które i u nas w szerokich kołach społeczeństwa zaczęto uważać za stosunkowo kosztowne i nieodpowiadające wydatkowi pracy wkładanej w jego przedsiębiorstwa, dziś przychodzi silnie cofnięcie się w tył. Pismo nasze wskazuje już od roku w stałej rubryce działalności kobiecej, tę ujawniającą się zmianę pojęć ekonomicznych, która jednak nie potrzebowała oddziaływać na niezmienniające się nigdy przekonania Redakcyi co do warunków domowej pracy kobiecej. Dla domowego ogniska i u domowego ogniska!... to z wyjątkiem pewnych szczególnych obdarowań umysłu i wyższych naukowych zdolności, lub talentów, najlepszy cel i miejsce pracy kobiecej.

M. Ilnicka.

## SŁOWA A CZYNY.

### POWIEŚĆ

#### SEWERA.

(Dalszy ciąg).

— Panie Tadeuszu, z ręką na sercu powiedz mi: wyrobimy się i utrzymamy na Rębowie?...

— Tak dzielne usiłowania paraliżować zwątpieniem byłoby zbrodnią.

— Ja pragnę pewności. Gdybym ją miała, poświęciłabym wszystko, a nawet nie pojechałabym

do Krakowa. Powiedz pan: jakie masz przynajmniej przecucia?

Dziś w tej chwili tak mi jakoś dobrze na sercu, że nie mogę mieć żadnych złych przecuci.

— Dobrze, wytrwajmy w dobrych przecuciach—powiedziała cicho, tajemniczo, a serdecznie.

Błyskawiczne światła raz poraz oświecały umysł szczęśliwego i zdziwionego Tadeusza. Drzwi salonu rozwarły się, weszła marszałkowa, za nią marszałek rozpromieniony, jak za dawnych czasów. Marszałkowa patrzyła pogodnie, w oczach jej świeciły światelka, zwiastuny weselszych myśli. Zbliżyła się do córki, patrząc na nią pieśczośliwie. Można było w oczach jej czytać myśli:

— Mam nadzieję, że w Krakowie znajdzie się ktoś, co nas wybawi z ciężkiej niewoli pracy, długów i kłopotów. Ten ktoś będzie młody, przystojny, szlachetny i bogaty.

Raciborski i Gryzio przyjechali niespodzianie, wierni tradycyi powtarzającej się rokrocznie, składania życzeń marszałkowstwu.

Pan Stanisław roztrworzył ramiona. W domu, gdy był sam, a nie odrabiał referatów, nie wiedział, co ze sobą robić. Tadeusz go męczył trzeźwym i spokojnym idealizmem, żona i córka—gospodarstwem.

— Pocziwy do przesady—mawiał o swym sekretarzu — dobry, że aż słodki, lecz krwi, życia, energii, namiętności—żadnej. I jeżeli w sześćdziesiątym roku wszyscy oni byli tacy —dodawał, zwracając się do żony — to się nie dziwię kłęskom.

— Ależ Tadeusz w sześćdziesiątym był piętnastoletnim dzieckiem — broniła przyjaciela marszałkowa.

— To nie zmienia rzeczy — odpowiedział marszałek.—Gdyby Tadeusz umiał być energicznym, dziś byłbym dyrektorem, mieszkalibyśmy w Krakowie, a Julcia, jeżeli nie męża, miałaby z pewnością narzeczonego. Ci arcy nieskazitelni w życiu i polityce zwykle przeszkadzają i psują.—Niepowodzenia zwykł marszałek spychać na barki sekretarza, powodzenia zatrzymywał dla siebie.

### IX.

#### „Kochany przyjacielu!

„Jeżeli list musi mieć tytuł, to innego znaleźć nie mogę, a nawet przyznam się, nie szukam. Tylko przyjacielowi oddaje się wszystkie kłopoty, ciężary i dolegliwości, aby samemu uciec do stolicy, bawić się i rozkoszować... Rozkoszujemy się przedewszystkiem w próżniactwie. Żeby ocenić rozkosz próżnowania, należało pracować chociażby tyle, ileśmy obie z mamą pracowały.

„Mama odpoczywała!... Gdy rano, to jest o dziewiętej godzinie, wejść do jej pokoju powiedzieć dzień dobry, zapytuje się z figlarnym uśmiechem:

— Czy to prawda, że Kaśka nie czeka, aby jej wydawać obiad dla ludzi? Nikt nie czeka? Nie pójdę do piwnicy, i śpiżarni—nigdzie. Juleciu, uściskaj mnie.—Wyciąga wtedy ramiona, obejmuje mnie i całuje.

— Nikt nie czeka—odpowiadam. — Niech mateczka odpoczywa, wyręczył nas pan Tadeusz. W tej chwili, mimo wiehru i śniegu, jedzie do miasteczka, wieczorem wróci do Rębowa.

— Bóg nam zesłał przyjaciela—powtarza cicho mama i lekko się porusza, wyczekując najdogodniejszej pozycyi. Jesteś pan wspomniany codzień, może co godzina. Czyż to mała nagroda za to, że wstaniesz o szóstej rano, w towarzystwie Kaśki i Walentego obejdziesz gospodarstwo? Chojnie jesteś pan wynagrodzony, nieprawdaż? Gdy do tego jeszcze dodamy obietnicę wdzięczności...

„Zupełnie co innego chciałam napisać. Jakież ten tytuł „kochany przyjacielu” jest wygodny i przyjemny—pisze się wszystko otwarcie, co myśl dyktuje, bez żadnych zastrzeżeń, bez trudu. Czas już jednak być poważną i jak dziennikarski reporter zacząć od początku.

„Nareszcie jesteśmy u siebie. Życie hotelowe męczące. Mieszkańko mamy wygodne i przyjemne, przy ulicy Basztowej, okna od południa,

widok na planty. Dużo słońca i, jak na Kraków, dosyć powietrza. Ojciec narzeka na drugie piętro, lecz na to jedyna rada, aby dwa razy mniej z domu wychodzić (mówię o sobie).

„Zaczynamy się ruszać, oddajemy wizyty, przyjmujemy. Wielki tutejszy świat nabawia mnie strachu. Ludzie należący do tak zwanego towarzystwa mają wielką wprawę życia w obejściu i stosunkach,—łatwość prowadzenia i utrzymania rozmowy spokojnej, jak wody rzeki płynącej po łagodnym spadku komunału, a obwałowanej konwenansem. Pochwała, jeżeli chwałą, objawia się bez wyrazu i siły, tak, że lepiej nie być chwalonym. Nagana, oburzenie mają tak delikatne formy, że nie robią wrażenia. Nikt się do niczego nie rozpała, nikt się nad niczem nie unosi. Skąpstwo w szafowaniu uczuć wielkie, większa jeszcze objętność.

„Jestem pod wrażeniem, że ludzie tutaj zaprzęgli się do jarzma, lekkiego wprawdzie, lecz zawsze jarzma, i ciągną je z wytrwałością, krocząc udeptanymi ścieżkami komunału, poganiani przez konwenans, uzbrojeni w długie, śmigły, daleko sięgający bicz. Kto się wyłamie z jarzma i ze ścieżki udeptanej zejdzie, dosięga go bicz konwenansu i póty, powoli, lecz ciągle, ćwiczy, póki biedak nie wróci na udeptane ścieżki lub pod ciosami ogólnego potępienia nie zmarnieje. Pojmujesz więc pan mój strach i moją nieśmiałość, abym przypadkiem, nieumyślnie nie wyłamala się spod jarzma i nie pohasała na swobodzie. Boję się i głośno przyznaję do tchórzowstwa ze względu na ojca i mamę. Nie chciałabym robić im przykrości, wielkiej przykrości, któraby ich do rozpacz przyprowadziła. Widzieć dziecko potępione przez konwenans, zgubione w jego opinii, to straszne, okropne, przerażające... Co do mnie, małyby mnie to obchodziło; miałabym pewno więcej szacunku dla samej siebie i nie a nic nie straciła w oczach mych przyjaciół, a przedewszystkiem w oczach pana. Nieprawdaż?...

„Przyzwyczajam się jednak do tej wygodnej metody w stosunkach z ludźmi. Oddaję pięciominutowe wizyty, przyjmuję, strzegę się, aby nie powiedzieć czegoś niezwykłego, oryginalnego, zakrawającego na herezję w oczach konwenansu—i dobrze. Ludzie przesuwają się obok mnie, jak cienie lub marionetki, ja się przesuвам obok nich—i dobrze. Nikt odemnie niczego nie wymaga, ja od nikogo nic—i tak najlepiej. Wczorami często jesteśmy same. Zaprenumerowałam w czytelni książki, czytam, a w przestankach tęsknię za Rębówem.

„Zapowiadają bale. Mama zaczyna się kłopotać moją toaletą, a ja pomimo, że udaję obojętną na te marności światowe, należę do dyskusyj, wyrokuję, wpadam w zapal, lub oddaję się melancholii i zwątpieniu. Takie my wszystkie: pozujemy na westalki, filozofki, wielkie gospodynie, patriotki... a w gruncie rzeczy rozpaczamy przy najmniejszej niepewności co do elegancji naszej toalety...

„Pierwszy raz w stolicy na balu, pierwsza suknia balowa, pierwsze obawy powodzenia—panie Tadeuszu—wierzaj mi, są to dla kobiety rzeczy wielkiej wagi!

„A *propos* balu, ojciec prosi, abyś pan był tak dobry i odstąpił nam Wojciecha na kilka tygodni. Niechaj Kuba zaprzęże swoją fornalkę do landa, Wojciech kasztanami luzem. Na wóz drugiej fornalki napakować siana, słomy i owsa i razem wyprawić. Na drugi dzień wieczorem powinni być w Krakowie. Jedyną przyjemność—przejechania się dobrymi końmi odbieramy panu. A jeżeliby, nie mając swego ekwipażu, zaziębiła się, dostała suchot i... przykroby panu było, i dlatego przebaczyć nam.

„Przyznam się pod wielką tajemnicą, że gdy znajome panie, oddając nam wizyty, zajądzą karretami, a my musimy do nich iść piechotą lub jeździć jednokonkami, zazdrość i wstyd zaczynają kiełkować w mem sercu. Aby nie pozwolić rozpleść się tym brzydkim wadom, oczekuję niecierpliwie przybycia Wojciecha. Uśmiechasz się pan. Niechże jednego mam na świecie człowieka, wobec którego wolno mi myśleć głośno i przedstawić się taką, jaką istotnie jestem.

„Gdybyś pan wpadł do Krakowa, chociażby na

parę dni? Pomyśl?... Czyż to nie należy do rozkoszy życia sprawiać radość i przyjemne niespodzianki przyjaciołom?... Do widzenia.

Julia.

„Kochany panie Tadeuszu!

„Wojciech szczęśliwie dobił do Krakowa. Mama dziękuje za kapłony, kuropatwy i zajace, ja za szczegóły o gospodarstwie, za pamięć, dobroć i pobłażliwość. To raczej pan powinieneś mi podziękować za to, że odkrywam w nim same cnoty, nie chcąc widzieć wad. Malutki przykładzik. Gdybyś posiadał uczucie wdzięczności, gdybyś za przyjaźń płacił przyjaźnią, za serce sercem, byłbyś wczoraj z pewnością do Krakowa zjechał: 1) aby mnie zobaczyć w balowej sukni, 2) aby razem z nami jechać na bal, 3) aby podziwiać swoją przyjaciółkę w pierwszej parze drugiego mazura, aby dziś w ciepłym pokoju rozmawiać o wczorajszych tryumfach, obmawiać piękniejsze, chwalić brzydsze, litować się nad wszystkimi innymi. Nie przyjechałeś pan, masz odstawy zboża, sprawy powiatu, interessa... Jednym słowem: odgrywasz pan przed nami rolę niezłomnego i chcesz nas upokorzyć swoją nieugiętością.

„Upokarzaj, jeśli ci się tak podoba, lecz zarazem żałuj, żałuj, żałuj!... Miałam suknię białą tiulową, narzucaną metalowymi złotymi perełkami, we włosach, uczesanych wysoko, różę,—gałązka róż stanowiła upięcie. Skromnie, lecz gustownie... Zebranie było przeważnie szlacheckie, z naszego obozu, młodzież nieco rubaszna, lecz zuchowata, tańcząca z życiem i energią... Dużo szczegółów, lecz te tylko można opowiedzieć. I dlatego pisać więcej nie będę. I tak, pomyśl pan, co za łaska, zasiaść do stolika nazajutrz po balu, kiedy do domu wróciło się o siódmej rano! Z jakąż rozkoszą znalazłam się w naszym lando! Wracać własną karetą z balu, to także należy do wielkich przyjemności życia. Nie zapominaj pan o wdzięczności — pisz — Julia.”

„Kochany przyjacielu!

„Skończono!... oddycham ciężko, lecz i swobodnie. Ośm bali, dwanaście wieczorów tańczących, nie licząc herbat, koncertów i teatru. Zrobiłam wszystko, starałam się być zachwycającą, uroczą, uprzejmą, dowcipną, ojciec nie może mi nic zarzucić: mimo to, nie znalazłam konkurenta!

„Z początku czułam, że jestem bożyszczem młodzieży. Jedynaczka, nie nadto szpetna, ani nadto ograniczona, Rębów w Krakowie sławny ze świetnego gospodarstwa (wentylacje w stajniach zrobiły mu rozgłos). Nazwisko, jakie noszę, lepsze od świeżo upieczonych hrabiów; ojciec—poseł i marszałek; matka—dobra, łagodna, dystygnowana: nie złą byłam partją. I cóż dziwnego, że hołdy zawróciły mi głowę, rozmarzyły? Zawrót i rozmarzenie widoczne były w moich poprzednich listach... Jedno tylko mnie przerażało: to opinia o świetności gospodarstwa rębowskiego, a ztąd i wielkości mego posagu. Uspokoili mnie najserdeczniejsze przyjaciółki. Pani Janowa w przejeździe do Wiednia widziała moje powodzenie na balach i niezawodnie musiała przestrzedz młodzież, za co jej nieskończenie jestem wdzięczną. Uwolniła mnie od wielkich przykrości, dawania samej objaśnić. Od chwili przejazdu przez Kraków pani Janowej przestałam być bożyszczem. Uczułam to odrazu. Bawiłam się również dobrze i ochoczo, lecz już nie byłam otoczoną tłumnie, nie uprzedzano moich myśli i pragnień. Dziwny chłód zapanował wśród młodzieży. Czułam, że się mnie obawiano, a ci, którzy z początku w grzesznościach dla mnie uprzedzali innych, zaczęli się zrećźnie usuwać. Nie uwierzysz pan, jak, widząc to, byłam wdzięczną pani Janowej. Rębów zrobił mnie bożyszczem i Rębów stracił z piedestału. Moje współzawodniczki tryumfowały i stały się dla mnie czulszemi i serdeczniejszymi.

„Uwolniona od otoczenia, miałam czas otrzeźwieć, zawrót głowy minął, własna wielkość przestała mnie upajać—i powoli wśród powtarzających się steoretypowych zabaw, tychsamych grzeszności i tychsamych komunałów, zaczęłam się nudzić z uśmiechniętą minką. Dla rozerwania nudów zaczęłam obserwować młodzież.

„Dziwna jest—znudzona i przeżyta. Jeżeli nie pracuje, polując na posagi, apatyczna. Przycho-

dzą gromadnie na godzinę przed północą, zostają do kolacy. Jeżeli jest obfita i dobra, jedzą dużo, piją, ile można. Po kolacy przetańczą mazura i w nogi... Pusta, czcza, bezbarwna, komunałowa, egoistyczna i, domyślam się, cyniczna... Pomyślisz pan, że się mszczę za zdradę z jej strony, za dezercję—a ja dziękuję Bogu i pani Janowej. Wyście byli inni. Młodość wasza miała szaleństwo, przerażające swoją wielkością—wspaniałe. Mogliście wołać: „Łam czego rozum nie łamie, orla twych lotów potęga...” Moi rówieśnicy łamią z rozkoszą przykrywą pasztetów z ciasta francuzkiego i stracają szyjki z butelek. Przyszłam na świat zapóźno, w epoce panowania Prusaków, Bismarcka i Stańczyków. Jeżeli Prusacy oznaczają dziką siłę, ujętą w systemat, to Stańczyki—służalność, protekcją, pokorę, konwenans, i wiele innych wielkich cnót malutkiego tego świata.

„Gdyby uratować Rębów i zamknąć się w nim! Do miasta przyjechać raz na pół roku, po książki, obrazy, nuty, zajrzeć do teatru i uciekać, uciekać, uciekać... Czy Rębów uratujemy? Pisz pan, że starasz się wtajemniczyć we wszystkie jego sprawy. Pomówimy obszernie i długo. Pocziwy ojciec nie traci fantazyi, może tylko stroi dobrą minę, aby nas nie gnębić; lecz mama, oile była rozpromieniona w pierwszych tygodniach, o tyle obecnie codzien smutniejsza. Żal mi jej serdecznie, kocham ją bardzo i dla niej radabym uratować Rębów. Pisz kochany pan i pociesz strapioną. Parę promyków nadziei wystarczy mi do rozgrzania energii i wytrwałości.

Julia.”

„Dobry, pocziwy panie Tadeuszu!

„Jeżeli wszystko stracone, ratujmy przynajmniej własny, cichy kąciek, gdzieby można się bronić i na własnym zagonie robić to, co pragniemy i co się da. Jeżeli jest tylko nadzieja i możność, nie zbraknie mi sił. Wczoraj skończyłyśmy wizyty pożegnalne. Dziś, po odebraniu listu z Rębowa, zabrałam Felisję i pod pozorem, że idę do kościoła, wybiegłyśmy na miasto. Na plantach odbyła się wielka narada i skutkiem niej udaliśmy się na ulicę Grodzką do Gligzellego. Zarumieniona wyciągnęłam trzy pudełka, wszystkie moje kosztowności, oprócz brylantowej broszy. Gligzelli spytał się: czy chce, aby oszacował.

— „I zarazem kupił—dokończyłam cicho, czując, że mnie twarz pali. Popatrzał na mnie ciekawie, potem wzrok przeniósł na dormezy, broszę i bransoletę, kiwał głową, dumal i odesłał pudełka do pracowni, zabawiając mnie tymczasem rozmową o ciężkich czasach, biedzie w kraju i tym podobnych miłych historyach.

„Po dziesięciu minutach odesłano pudełka z notatką. Gligzelli po raz drugi otworzył je, rachował, dodawał i odejmował, a mnie serce biło, tak, że słyszałam jego uderzenia.

— „Tysiąc trzysta — wypowiedział, wpatrując się we mnie. Musiałam zblednąć, czułam, jak krew z twarzy zbiega mi do serca.

— „Dormezy—szepnęłam—kosztowały przeszło tysiąc.

— „Co innego sprzedawać, co innego kupować—odrzekł filozoficznie. — Tysiąc pięćset—dodał stanowczo — więcej nie mogę—i posunął do mnie pudełka.

„Przyszły mi na myśl słowa listu pańskiego, przysięga dana Świdierskiemu o dwóch nowych fornalkach na wiosnę... Nadzieja, nadzieja—powtarzałam w myśli, a głośno Gligzellemu: zgoda. Pudełka znikły, a natomiast na stole ukazał się papier na tysiąc reńskich i obok niego pięć setek.

„Brylantowa brosza przez pięć pokoleń przechowyje się w rodzinie mamy, dostałam ją na imięninę, bałam się sprzedawać. Felisja zaniósła zastawić do kassy oszczędności, czekałam na nią w kościele—przyniosła ośm setek.

„Dwa tysiące trzysta na początek, na wiosenne siewy i dwie fornalki—wystarczy. Nie przyjadę z próżnymi rękami i to mnie cieszy.

„Dziś przyjechał Kubaz Rębowa, składamy, pakujemy. Jutro odjeżdża Wojciech. Jutro obiad w Rębowie. Serce mi rośnie z radości. Tęsknię

za moimi ciepłymi pokoikami, tęsknię za wszystkimi i wszystkim.

Julia.”

(Dalszy ciąg nastąpi).

## JAN ROWLAND STANLEY.

(Dalszy ciąg).

Ludzie składający karawanę Stanleya nie brali udziału w potyczkach, w których on nie uczestniczył; niemniej przegrana Arabów odbiła się na jego położeniu, na usposobieniu jego orszaku. Chory, nie mógł przecież pozostawać dłużej w Zimbizo, bo czarny cesarz wiedział, że *człowiek biały*, sprzymierzeniec jego wrogów, przebywa tam, więc ciągnął teraz na niego z tłumami dzikiej czerni swojej, zagrzanej chwałą zwycięstwa. Trzęsąc się z febrы, musiał siadać na osłice, służącą mu za podjezdka, teraz już zupełnie sam jeden, człowiek rasy białej wśród krajowców. I spotkał się też zaraz na wstępie z buntem: widział śmierć, bliską, jak lufa wymierzonego doń karabinku, gdy obok tego czuł z tyłu poza sobą skradającego się zabójcę drugiego, i uratowała go tylko zimna krew i odwaga, pozwalająca ją zachować. Jednego mordercę, celującego doń, schwycił w szybkim ruchu na przód za piersi i cisnął o ziemię, od drugiego obroniła go wierność Murzyna już chrzczonego, którego niegdyś Speke miał przy sobie w czasie przebywania w tych właśnie okolicach. W okamgnieniu obaj zbuntowani kłęczeli przed nim, przerażeni własną śmiałością, a reszta karawany porzuciła odrazu wrogię przeciw niemu zamiary. Biały budzi zawsze w Murzynach uczucie poszanowania, złączone z bojaźnią, jakoby wobec istoty wyższej, i Stanley umiał z tego korzystać. Dla przykładu kazał obu zbuntowanych przykuć do łańcucha, zapowiadając, że prowadzić ich tak będzie aż do celu swej podróży, do jeziora Tanganika, które krajowcy nazywają *Wielką Wodą*, i gdzie dopiero złoży sąd na nich. Ale za dobry był na to, za ludzki i skoro tylko stał się pewnym co do odzyskanego panowania nad orszakiem swoim, kazał więźniów rozkuć, nie wymierzając na nich żadnej kary, co zjednało mu serca krajowców i biały człowiek stał się teraz kochanym, mógł zatem liczyć na wierność więcej, niż poprzednio, bo jest to rysem charakteru Murzynów, iż umieją być wiernymi w przywiązaniu raz powziętem.

Z Zimbizo wyruszył d. 7 Października; 3 Listopada spotkał się z karawaną wracającą od strony jeziora i powziął wiadomość, że nad *Wielką Wodą* przebywa człowiek biały. Zrazu przypuszczał Stanley, że może to być Baker, ale powiedziano mu, że ów Biały ma siwą brodę, więc trzeba było uwierzyć, że to Livingstone, co znaczyło dopięcie celu, dla którego znajdował się w głębi Afryki, sam jeden.

I tylko już ośm dni drogi karawanowej odzielało go od chwili, która miała mu to dać, przecież troska niemałego znaczenia przyszła niepokoić go jeszcze. Zapasy niesionych ze sobą towarów zmniejszały się w zatrważający sposób, bo w miarę zbliżania się ku jeziorom kraj stawał się coraz więcej zaludnionym, wsie były coraz gęstsze, zatem i haracz, który trzeba było płacić naczelnikom pokoleń, stawał się coraz uciążliwszym. Stroskany, przyzwał do narady dwóch Murzynów, niegdyś niewolników gdzieś na pobrzeżach, a teraz czy wykupionych, jak bywa niekiedy, skoro Murzyn zdoła przez przemądrłość, pracę wytrwałą i spryt rozumny zapracować sobie tyle, aby opłacił się swemu posiadaczowi — czy zbiegów, powracających w strony rodzinne. Przyłączyli się do karawany, idąc z nią razem, i Stanley zwrócił się do nich po radę, co robić? Podróż nocą, drogami bocznymi, któreby pozwoliły omijać wsie leżące na szlaku karawanowym, była jedynym wyjściem z trudności. Stanley musiał przystać na to ryzy-

ko. Oddawał się w ręce dwóch nieznanym mu całkiem ludzi, którzy mogli go wywieść na manowce i tam w znowie z miejscowymi rabusiami złupić, a nawet zamordować wraz z tymi, którzy przy takim obrocie rzeczy, chcieliby pozostać mu wiernymi.

Przewodnicy po tych skrytych drogach, żądali za usługę swoją czterdziestu metrów czerwonej dymki. Pierwszą pomocą ich doświadczenia było wyprowadzenie karawany cichaczem z noclegu odbywanego we wsi, wśród której zatrzymano się na odpoczynek przed wieczorem. Trzeba było dokonać tego tak, aby nikt z miejscowych nie został zbudzonym, nie domyślił się ucieczki. Obozowiska karawan bywają zwykle otoczone pewnego rodzaju okopami, i trzeba było wyruszyć z nich w milczeniu największym, potem obchodzić podobnie wszelkie miejsca zamieszkałe, przebiegając się bokami, kręto, mając przed sobą niebezpieczeństwo zagubienia się, zmylenia kierunku.

Stanley musiał jednak ryzykować. Tej nocy nie kładł się już wcale, nie zmrużył oka, co po dniu afrykańskiej podróży nie jest rzeczą małą. Nieco przed północą księżyc ukazał się na niebie; karawana zaczęła opuszczać obóz małemi gromadkami po czterech ludzi. O trzeciej godzinie już wszyscy byli na umówionym miejscu poza wsią, nie obudziwszy nikogo. Gwizdnięcie Stanleya było hasłem dającym znać owym dwóm Murzynom, że już można ruszyć, i karawana skierowała się pod ich przewodnictwem ku południowi, brzegiem rzeki Kanaenki. Dalej zwrócono się na zachód, a teraz trzeba było przebywać równinę, zarastającą trawą tak ostrą i twardą, że raniła nogi do krwi, a niebo zaciągnęło się czarnymi chmurami, które skryły księżyc. Żadne słowo nie mogło być wymówionem, zawiązano pyski osłów, aby ryk którego nie zdradził uciekających. Karawana stała się podobną do orszaku widm nocnych. Zato, gdy księżyc wypłynął spośród chmur i wzbił się majestatycznie na środek nieba, lejąc srebrne światło na dziką, pustą okolicę afrykańską, w uspieniu nocnego odpoczynku, — efekt był wspaniały.

Choć krew płynęła z nóg idących, nikt nie podniósł skargi najmniejszej, bo Murzyn cierpliwym jest dziwnie na tego rodzaju cierpienia. Przyzwyczajony od dzieciństwa do łamania się z mocami dzikiej przyrody, umie znosić ból w milczeniu. O wschodzie jutrzienki znaleziono się nad brzegami rzeki Malagarazi, i tu, w zaroślach nadbrzeżnych trzciny i roślinności, podobnej do europejskiej wikliny, zatrzymano się na odpoczynek, który miał trwać do nocy.

Znużeni składali już na ziemię dźwigane ciężary, gdy po drugiej stronie rzeki ujrano krajowców, zapewne z pobliskiej wsi, niosących sól. Widok karawany, ukrytej w tych miejscach, gdzie nigdy widywaną nie bywa, wywołał między nimi taki przestrah, że porzucając niesione zapasy, poczęli uciekać z krzykiem ogromnym, który mógł pobudzić ludność wsi niezbyt odległej i narazić karawanę na walkę i złupienie. Stanley więc kazał natychmiast ruszyć dalej. Podwójnym krokiem posuwali się wzdłuż brzegów, aż kędyś wśród gęstych kęp trzciny i olbrzymich sitowi przeczajono się cicho i przebyto dzień cały, aż do późnego wieczora. Gdy przecież ruszono, przypadek niespodziewany o mało nie wydał karawany na pewną już zgubę. Zaraz po północy trzeba było przesunąć się jaknajciszej w niewielkiej odległości od wsi, której inaczej ominąć nie było można, gdy nagle żona jednego z Askarysów uległa wśród doznanej trwogi szalonemu napadowi: poczęła wydawać nerwowe jęki, lkać i krzycze nawet. Niebezpieczeństwo było takim, że mąż, nie mogąc jej uspokoić i uciszyć, wyjął pałasz, aby ją zabić. Ta jedna śmierć, ratowała życie wszystkich; przecież Stanley nie pozwolił. Pochwytał bicz i grożąc nim kobiecie, nakazał jej milczenie, ale nadaremnie. Hysteryczka krzyczała, i wtedy on zaczął bić. Krzyki się wzmożyły, lecz on bił tem silniej i była to — jak pisał we wspomnieniach swoich — straszna chwila. Musiał bić — bić nie miłosiernie, aż szalona umilkła nakoniec. Lecz wśród trwogi poporzucano niesione paki i znaczna część Murzynów rozbiegła się na strony, pokryła się, pokładła na ziemi w ciemności. Gdy prze-

cież nastąpiło uciszenie i na szczęście ze strony wsi nie dał się widzieć ruch żaden, zbiegi wrócili. W niepokoju jeszcze, czy wypadek nie wywoła pogoni, do której mógł skłonić ktoś jeden, który krzyki zasłyszał, ruszono dalej, lecz zwaryowana kobieta została zakneblowaną, miała ręce w tył związane, aby ust nie oswobodziła i w nowym napadzie spazmów nie zdradziła kierunku pochod.

W niespokojnem usposobieniu powitano dzień, ale i teraz jeszcze trwoga, czy ściganemi nie są? nie pozwoliła zmęczonym na odpoczynek. Rano mieszkańcy wsi mogli uradzić poszukiwania, odkryć ślady karawany i puścić się za nią; więc też po krótkim tylko wytchnieniu i szybko spożytym posiłku ruszono dalej.

Do pośpiechu naglił i jeden jeszcze ważny powód. Zapasy żywności zmniejszały się w zastraszający sposób, a w okolicy Uhha, którą przebywano właśnie, niebezpiecznie było zatrzymywać się karawanie niezbyt licznej i obronnej.

Przecież odpoczynek nocny po tak długim pochodzie, niemal całej doby, był koniecznością, jednak nie pozwolono sobie na zbytek wygodnego noclegu. Na dwie godziny przed wschodem słońca ruszono. Było to d. 6 Listopada; nocą jeszcze zupełną, przebyto wielki las w kierunku północno-zachodnim, nawet kozom zatamowano głos, aby o wschodzącym dniu nie zabezwały, gdy nie szczęśliwa pomyłka o mało nie wydała wszystkich i wszystkiego na zgubę pewną. Przewodnik, ujrawszy przed sobą nową, dobrze utorowaną drożynę, sądził, że jest już poza granicami Uhhy, w krainie Ukaranga, i wydał okrzyk radości, powtórzony za nim przez całą karawanę. Spieszono się wesoło naprzód, gdy nagle ujrano wieś, należącą do nieprzyjaznego im plemienia. Mileżenie najwyższe zostało nakazanem, lecz trzeba było złożyć radę, w którą stronę należy się teraz zwrócić?

Obejście wsi bokiem, okrażenie jej, przedstawiało trudności tak poważnej natury, że Stanley postanowił ryzykować. Po naradzie z przewodnikiem rozkazał zabić wszystkie kozy, zarznąć kury — wszelkie stworzenie żywe, którego głos mógł zdradzić pochod karawany, a że dzień dopiero świtać zaczynał i we wsi spali jeszcze wszyscy, postanowiono przebyć ją w ścieśnionej kolumnie i zaraz potem rzucić się w zarośla, zakrywające karawanę przed wzrokiem nieprzyjaciół. Przedsięwzięcie udało się. Przebyto wieś, nie zbudziwszy nikogo, i Stanley, który postępował na ostatku, już przekroczywszy rogatkę, przystanął i obejrzał się — na nieszczęście. Jeden z mieszkańców, olbrzymi Murzyn, wyszedł właśnie z chaty, ujrzał przystającego i wydał krzyk trwogi — hasło niebezpieczeństwa, mające dać znać mieszkańcom, że obcy znajduje się w obrębie ich posiadłości. Gdyby karawana usłyszała go, niewątpliwie rzuconoby niesione paki o ziemię i poczęto uciekać, a wtedy nietylko całe zapasy wpadły w ręce nieprzyjaciela, ale i karawana cała ścigana i rozproszona wśród trzciny i zarośli, wyginęłaby pojedynczo, lub dostała się w niewolę. Stanley przecież nakazał tylko możliwy pośpiech, nie wyznając jego powodu i w godzinę potem, właśnie w chwili, gdy słońce weszło, karawana przekraczała strumień, stanowiący granicę pokolenia Ukhha i znalazła się na gruncie bezpiecznym pokolenia Ukaranga, w oczach którego Biały Człowiek, to jest Stanley, nie przedstawiał się jako wróg.

Teraz droga już była łatwą i bliską celu. Wszystkie niebezpieczeństwa i trudy podróży: góry lasy, kolczaste zarośla, bagna z zatrutemi wyziewami, łąki zarośla, jakgdyby ostrzami brzytwy, wszystko to pozostawało już w tyle. Jeszcze jeden dzień i jedna noc, a ujrzą przed sobą *Wielką Wodę*, Stanley zobaczy drugiego podobnego sobie człowieka — człowieka z siwą brodą, tego Livingstone'a, którego szukając, znalazł się aż tu, sam jeden między ludem dzikim, niekarnym, a w chwilach rozdrażnienia, szalu, który go napadał łatwo — okrutnym, zdolnym mu zadać niejedną śmierć, ale ich tysiąc, przez srogie pastwienie się nad Białym, którego zwyciężył.

D. 10 Listopada, więc po 236 dniach podróży, licząc od chwili, gdy karawana opuściła Zanzibar, postępowano oto teraz w pogodny, jasny pora-

nek krainę rozkosznie wdzięczną. Głębokie, nieprzemierzone lasy umajone były najwyższą zielenią; wody rzeki Mukti płynęły ze szmerem melodyjnym wzdłuż drogi podróżnych, przysłonięone fantastycznie draperiami najbujniejszej, najwspanialszej roślinności. Droga ta prowadziła najpierw wyżyną, zarosłą bambusami, potem głębokim wąwozem ze strumieniem wód srebrnych, znowu wzgórzem, ścieżką wąską, wijącą się jednym jego bokiem, a przewodnik zapewniał, że u końca tego wszystkiego, ze szczytu wysokości, które zasłaniały horyzont, Człowiek Biały ujrzy *Wielką Wodę*.

Nakoniec pomiędzy drzewami zaczyna coś migotać, błyszczyć, jak srebro. Ponad tem, naprzeciwko idących, dźwiga się łańcuch skał posępnych, rzekłbyś: mur z lawy czarnej, mieniającej się błękitnawo, aż oto nagle ukazuje się *Wielka Woda*, świecąca, jak srebro ściemniałe, po nad nią błękit nieba najczystszy, wkoło góry i lasy—las palmowe.

Tanganyika! Stanley odkrywa głowę i rozwija chorągiew Stanów Zjednoczonych, potem modli się...

Dusza takiego podróżnika—człowieka zdolnego do wielkich i niebezpiecznych przedsięwzięć, na korzyść idei, nauki—na korzyść wielkiego jakiegoś ideału przedsiębranych, musi w chwilach osiągnięcia swego celu czuć rozkosz wzniosłą. Wzruszenie, które kazało Stanleyowi modlić się wobec *Wielkiej Wody*, jest naturalnem i zrozumiałem.

(Dalszy ciąg nastąpi)

## PRZEGLĄD PIŚMIENNICZY.

**Faust**, tragedia Göthe'go, przekłożył Ludwik Jenike; wydanie 1-e w *Ateneum* z r. 1887 i w osobnem odbiciu, wydanie drugie: Warszawa, nakład Teodora Paprockiego i Sp 1889, druk Emila Skińskiego (str. 244, 12-o). Porównanie nowego przekładu z dawniejszemi: Krajewskiego i Jezierskiego. **Wybór poezji lirycznych Szyllera** w przekładzie polskim przez A. A. K., odbicie z *Biblioteki Warszawskiej*, Warszawa, w drukarni W. Ratyńskiego (dawniej J. Bergera), str. 53, 8-o.

(Dokończenie.)

Mam przed sobą Schillera w przekładzie tego samego człowieka, który skromnie, nie szukając umyślnego rozgłosu, o mimowolny zaś nie dbając, próbował sił swoich na *Fauscie*, a jak widzieliśmy wyżej, z tych prób w niejednym miejscu wyszedł zwycięztko, nawet we współzawodnictwie z tak wprawnym tłumaczem, jak p. Jenike. *Wybór* swój złożył p. Krajewski z piętnastu utworów „Gedankenpoesie“ najczystszej i najprzezroczystszej z poetów. Na ten raz już przyznaję się chętnie do zachowawczości, do samego nawet wstecznicstwa i gdybym wiedział, że mnie do czarnego bractwa ciemności zaliczą, nie wahałbym się przyznać, że lubię Schillera i nie czuję na nim ani stęchlizny czasu ani naiwności natchnień, niegodnej już wieku racjonalizmu a postępu przedewszystkiem—postępu zawsze i wszędzie, przemożnego, jasnie wielmożnego postępu. Wiem, że jest to grzeszna słabostka, ale mi z nią dobrze. Po odczytaniu Schillera, dziś, choć już stary jestem, czuję się jasniejszym jakimś, silniejszym i lepszym. Słabostka i wszetecznicstwo!—przyznaję raz jeszcze, przyznaję. Wiem, że krytyk szanujący się zupełnie nie powinien być nigdy entuzyastą, a zwłaszcza dla poety, którego postępek coraz bardziej—i ze swego stanowiska słusznie—traktuje. Toć Taine nam dowodnie wytłómaczył, że każda epoka ma swoje właściwe piękno, że poeta żyje tylko otoczeniem swoim i jest jego wytworem; że jak się formy życia zmieniają, tak też kształty piękna ulegają ciągłemu przetwarzaniu się. Z ducha Taine'a wynika, że istotnym twórcą wszelkiej poezji i wszelkiej sztuki nie jest geniusz je-

dnostki, ale człowiek rodzajowy, i dlatego piękno rodzajowe jest najtrwalszem, że i człowiek jako rodzaj ma na ziemi najuporczywsze trwanie—nie wymiera i nie wymrze nigdy. Ztąd Homer i Homerydzi zachwycają nas słusznie w *Iliadzie* i *Odysei*; ich bowiem realizm zapewnia im wieczność. Ale poeta taki idealistyczny, taki marzyciel, taki, chorobliwy nieraz, wzdychacz, taki latawiec po obłokach, rzadkokiedy trzymający się silnie ziemi, człowiek ze zmysłowością przytępioną—po co on jeszcze błąka się w wieku zdrowego, jędrnego ducha, kiedy silne odczuwanie zewnętrzności, wchłanianie jej w siebie i wyziewanie w kształtach piękna jest całym zadaniem sztuki? Czego chce od nas ten komentator filozofii praktycznego rozumu Kanta, ten zapamiętały wyznawca trójcy ideałów kantowskich?

Czego? Szuka duchów ludzkich i pociąga ich ku sobie i uszlachetnia ich swemi myślami. Z Taine'a kosteczki nawet nie zastaną, sławiony postęp okaże się straszem cofnięciem ludzkości, a Schiller żyć będzie. I moda dzisiejszej sztuki i moda dzisiejszej estetyki przemienie—bo moda jest formą życia zbiorowego w umysłowości gromadnej tak samo jak w zewnętrznej pstrocinie i fatalaszkach. Ludzkość żyje ciągłemi nawrotami i zbadana dobrze przeszłość umysłowego jej życia wykaże kiedyś szereg ogniw jednego łańcucha powtarzających się w pewnym nawet stałym porządku. Zwracamy się ciągle tam z kądęśmy wyszli, ale nie wracamy nigdy na tesame punkta i temisamemi drogami. Jestto jakaś krzyżowna, w której jedne sploty na drugie zachodzą, ale skłębiona całość ciągle rwie się naprzód i rozwija coraz dalej przed siebie.

Dostawszy do ręki przekłady p. Krajewskiego, zajrzałem przedewszystkiem do *Rezygnacji*: niegdys miało się ją na pamięć, a w chwilach falowania duszy znajdowało w niej jakby echa własnej niemocy i pokrzepiający głos rozumu. Jestto jedno z najsilniejszych natchnień Schillera pierwszej młodości. Z niego wybuchnęło to straszliwe słowo: „*Die Weltgeschichte ist das Weltgericht*“ — mniej szczęśliwie oddane przez p. Krajewskiego: „Ludzkości dzieje — to ludzkości rugi.“ Myślą poety było to, że dzieje same przez się niosą już karę i nagrodę za czyny. Prawda wiernie przemawia do kochanka Laury, a Świat już i poetycznie dobrze urąga poecie:

Kłamane cienie postaci życiowych,  
Szeregi mumii ze stuleci ciał,  
Balsamowane w podziemiach grobowych  
Nadziei tchnieniem — dla rojeń jałowych —  
Nieśmiertelnością nazywa twój szal?!

Na „*Richterin*“ i „*Vergelterin*“ ma p. K. jeden wyraz „bogini“. W przekładzie mamy: „Dwa kwiaty (*Hoffnung und Genuss*) zdołają wam życia pustkowie“ w oryginale zaś „*blühen für den weisen Finder*“. „*Der Vorsicht Räthsel verdest du mir lösen*“ oddane przez „Żywotów rozwiązujesz zagadnienia“. W szóstej zwrotce „*Heimath*“ osłabione przez „rodzinę“, a w ósmej „*Jenseits des Grabes wuchern deine Schmerzen*“ traci swą wyrazistość w wysłowieniu: „Za grobem z lichwą ból powetujecie“. Prawda powinna tu przemawiać tylko do samego poety.

Dobrze kończą się u p. Krajewskiego *Idealy*; szkoda tylko, że „praca“ ma wołać na o. Pozwolił sobie wprawdzie Słowacki „*Piersio*, siedmiu ranami Chrystusa czerwona“ w *Mazepie* — no, ale Słowackiemu wolno, bo językowi naszemu nieskończenie więcej dał, niż mu mógł przez takie zboczenia wydrzeć. Do *Bogów Grecji* wziął tłumacz brzmienie potoczniejsze, ale też i chudsze — dla wielkiego tłumu — nie dla grona przyjaciół. Zwrotka jedenasta uderza polskiem swem wysłowieniem, a czternasta brzmi znakomicie. Posłuchajmy jaką jest „natura z boskości obrana.“ — Otóż jest:

Niewiedząca jaki czar posiada,  
Obojętna na własną wspaniałość,  
Nieświadoma ducha, co w niej włada,  
Nie znająca co błogość, ni żałość,  
I niedbała o cześć swego pana,

Jak zegaru wahadło bezduszna  
Tylko prawu ciężenia posłuszna.

Pięknie brzmi dwuwiersz:

Ludzi wtedy, bogi i półbogi  
Łączył Amor w kochające pary.

Użyta, i tu i w *Pierscieniu Polikratesa*, twarzą forma „Erynni“ w greckim źródle tego wyrazu nie znajduje usprawiedliwienia: i owszem, samo to źródło narzuca zakończenie miękkie (Εριννιά, gen. 005, pl. 005=Erynnje) i z takim też imię to spotykamy prawie zawsze w polszczyźnie.

Klasyczne zakończenie *Bogów Grecji*:

Was unsterblich im Gesang soll leben,  
Muss im Leben untergehen.

tłómaczy pan Krajewski:

Co ma w pieśni żyć przez wszystkie wieki,  
Musi żywe utracić istnienie.

W *Podziale ziemi* Jowisz zapytuje poetę: „gdzie był podczas działań“ a poeta tłumaczy się:

Byłem u ciebie.....  
Mój wzrok w Twym boskim majestacie tonął.  
Słuch mój harmonią Twego nieba chłonał;  
Wybacz duchowi, co blaskami twemi  
Olśniony, całkiem zapomniał o ziemi.

W *Godach zwycięzców*, powracających do ojczyzny z jeńcami trojańskimi, mądry Ulisses śpiewa:

Szczęśliwi, kto żonę posiada,  
Która mu wiary dochowa!  
Boć płochą jest białogłowa,  
A nowości zawsze rada.

Dobre są w tym wierszu toasty Neoptolema, Tydejczyka, Nestora z cofającymi się rymami, wreszcie Kassandry.

W *Pożegnaniu Hektora* wyższy jest Felicyan<sup>3)</sup>.

W dwóch pierwszych epokach twórczości szylerskiej życie greckie wyłącznie prawie formami swemi panowało nad umysłem poety: było to skutkiem nie tylko studyów klasycznych, ale i czaru, jaki rzuciła Starożytność na wrażliwą, idealistyczną, rzeczy myślą tylko oglądać się dających spragnioną istotę.

Z trzech przypowieści przetłómaczonych przez p. K. najlepiej podobały mi się *Ibikowe Żorawie*. Po przekleństwach Eumenid stała się w Cyрку wielka cisza:

Pod mocą prawdy czy złudzenia  
Drżą wszystkie piersi ze wzruszenia,  
Ze czci dla siły tej straszliwej  
W ukryciu czującej, sprawiedliwej,  
Co niedostępna dla badania,  
Koleje losów płacze zmienne,  
Czującym sercom się odsłania,  
Lecz nie chce wyjść na światło dzienne.

Po *Heronie* i *Leandrze* idzie *Hrabia habsburski*; wydrukował go przed laty *Bluszcz*. *Der Gang nach dem Eisenhammer*, pod tytułem „Zlecenie do huty“, przełożony gładko. Nad *Pieśnią o dzwone* dobrze się już napociło rymotwórstwo polskie; przekładu Kamińskiego uczyliśmy się w szkołach. O skałę rytmiczności rozbiła się już niejedna nawa. W nowym przekładzie młodzieniec Schillera rzucający się w wir miłości nie ma prawa skarżyć się na pokrzywdzenie, a po godach weselnych, po wiosnie życia, po ułudach i czarach

...miłość trwa, choć szal przechodzi;  
Kwiat wędnie, owoc się rodzi.  
Mąż tymczasem z życiem twardem  
Stawać musi do boju,

3) Przekłady obcych poetów, str. 141.

I odpierać i nacierać  
I nie zaznać spokoju;  
Musi walczyć i tworzyć,  
Musi szczepić i mnożyć  
I odważać się śmiało,  
By mu szczęście sprzyjało.

Dobrze wysłowił tłómacz zwrotkę: „O, dobroczynną jest ognia potęga.“ „W tę oto świętą ziemię czarną, kładziemy rąk naszych dzieło“ — pod względem rytmicznym nie zadawalnia. W „Święty porządku zrodzony w niebie!“ płyną słowa potokiem szlachetnie-uroczystym, bez nadętości. Zwrotka przeciwko Rewolucyi Francuzkiej, widzianej ze strony okrucieństw człowieka nad człowiekiem, brzmi w przekładzie:

Strasznym jest lew podrażniony,  
Strasznym tygrys kłami swemi;  
Ale nad wszystkie bestie tej ziemi  
Straszniejszy człowiek szalony!  
Próżno tkniętemu wiecznem oślepieniem  
Pochodnię boskiej podawać światłości,  
Niczem dlań blask jej — ale jej płomieniem  
Popali miasta i wioski.

Słaba dość *Bitwa*, jedna z pierwocin Schillera, zakończa *Wybór*. Tłómaczowi należy się za te wszystkie przekłady niezdawkowe tylko uznanie, a głównym do niego tytułem jest staranność w oddaniu myśli poety. W sztuce wierszowania, w rytmie, w muzyce wiersza można sięgnąć wyżej; w poszanowaniu oryginału, w doborze odpowiednich wyrazów, w zrozumieniu treści i odczuciu ideałów z niej promieniących trudno byłoby komukolwiek posunąć się dalej.

Stanisław Krzemiński.

## Z BIEŻĄCEJ CHWILI.

— **Warszawskie Towarzystwo Sztuk Pięknych**, miało w roku ubiegłym 5.034 członków, więcej niżeli w roku zeszłym o 192. Wystawę Towarzystwa zwiedziło za biletami płatnemi 28.122 osób. Dzieł nowych wystawiło Towarzystwo 411, z których komitet zakupił dla rozlosowania między członków 100 za cenę 10.332 rs. Osoby prywatne nabyły 42 dzieła za 3.479 rs. Ogólny rezultat sprzedaży przyniósł summe 13.811 rs., za dzieł 142.

— **Na stypendyum** dla ucznia średnich zakładów naukowych w Warszawie zapisał zmarły w Petersburgu adwokat, Michał Chodorowski rs. 15.000. Stypendyum tem rozrządzać będzie War. Tow. Dobroczyńności. Na stypendya dla uczniów szkół lubelskich, pochodzenia polskiego, wyznania rzymsko-katolickiego, zapisał nieboszczyk 10.000 rs. oddając i tu Tow. Dobroczyńności Lubelskiemu zarząd w rozdzielaniu stypendyów. Z procentów składać się będzie rocznie rs. 200 za przyrost kapitału.

— **Podziękowanie** hr. Stanisławowi Tarnowskiemu, za starania czynione w sprawie zniesienia cen książek szkolnych, zostało mu wyrażonem przez Krakowską Radę Miejską.

— **Rabin izraelskiej gminy lwowskiej** Bernard Löwenstein zmarł d. 24 Marca i był odprowadzony na miejsce ostatniego spoczynku przez liczne tłumy chrześcijańskiej i izraelskiej ludno-

ści Lwowa. Człowiek był bardzo uczciwy i uczony, związany ze społeczeństwem miejscowem wyjątkowemi węzłami sympatii, na które zasłużył przez życie bez skazy, przez wyższy charakter i niepospolitą naukę. Mowy jego były tu słynne, mawiał je w synagodze, gromadząc licznie słuchaczy różnych wyznań. Założył niegdyś we Lwowie pierwszą izraelską kuchnię tanią, stan rzemieślniczy otaczał szczególnem staraniem i za usługi obywatelskie otrzymał od cesarza order Franciszka Józefa — pierwszy w Austrii rabin tak zaszczycony.

— **Walne zebranie Towarzystwa Czytelników w Poznaniu** wykazało, że mimo przeszkód stawianych mu przez władze administracyjne powiększyło liczbę czytelników swoich w roku ubiegłym o 150.

— **Tytuł oficera Akademii Francuzkiej** otrzymał malarz Axentowicz, za portret wystawiony w salonie Paryzkiej Wystawy malarstwa.

— **Dziennik paryzki *France*** otrzymał od pewnego niemieckiego negocyatu ogłoszenie do umieszczenia, na co redakcyja pisma odpowiedziała, w osobie redaktora swego Lucyana Nicault, że drukować je będzie chętnie, ale za opłatą pięciu miliardów franków, którą to summe zarząd dziennika odeśle rządowi francuzkiemu, jako zwrot za kontrybucyja wojenną, nałożoną przez Niemcy na Francyja w 1871 r. Niegdyś Sara Bernhardt zgodziła się na występy w teatrze berlińskim za podobnie niewielką cenę — zwrotu Alzacy i Lotaryngii.

— **Pamięć Wacława Szulca**, kanonika prazkiego a jednego z najdawniejszych i zarazem najszlachetniejszych patriotów czeskich, została uczczoną przez nadanie jednej z ulic na Wyszehradzie jego nazwiska. Kapłan ten był związany węzłem najbliższej przyjaźni z ks. Jerzym Lubomirskim, z którym kollegował w uniwersytecie i który, jak to Szulc wyznawał głośno, rozbudził mu w pierś pierwszą iskrę gorącego uczucia miłości dla kraju rodzinnego, by tam gorzała odtąd do tchnienia ostatniego. Stan Czech był wtedy takim, że młody akademik wraz z przyjacielem swoim Ireczkim, później austryackim ministrem oświaty, zachwyciwszy w pierś pierwsze poczucie się do obowiązków Czecha, uczył się poczesku z szyldów przedmieściowych, gdzie mowa rodzinna utrzymała się jeszcze między ubogim ludem. Gdy umierał, Praga cała mówiła już poczesku, poczesku przedstawiane były sztuki w pięknej i ogromnej sali teatru czeskiego i poczesku przemawiano nad jego mogiłą, u której nie zabrzmi chyba nigdy żadne słowo niemieckie.

— **Londyńskie Towarzystwo geograficzne** otrzymało od Stanleya w d. 4. Marca list z wiadomością, że udaje się wschód do Afryki, aby się spotkać z odsieczą wysłaną dla Emina Paszy.

## MYŚLI.

Z Szyllera.

Jest źródło młodości — potok, który płynie  
Srebrzystą falą wiecznie żywej wody...  
Gdzie? zapytacie. — W poezyi kramie;  
Duch, co zeń czerpie, będzie wiecznie młody.

Mąż prawdy szuka — sąd kobiety leży  
W szali miłości: co kocha w to wierzy. —

Zapatrzyć się na szczęśliwych, zapomnisz Boga w  
[Niebie,  
Lecz wśród tych, którzy cierpią, stanie On obok  
[ciebie.

Prawdę rzekł, mędrce... tego czego niema,  
Pragniemy, lecz się kocha to, co już otrzyrna.  
To też bogate serce kocha, biedne kusi  
Wieczna żądza. Ubogie jest, więc łaknąć musi.

Czem się objawia geniusz? Czem przyroda  
Objawia Stwórcę... tem co się nie mierzy.  
Eter dla oka przejrzysty, jak woda,  
Dla myśli wiecznie ciemną głębią leży.

M. I.

**Komitet Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych w Królestwie Polskiem** ogłasza niniejszem, iż w m. Październiku r. b. urządzona będzie w lokalu Towarzystwa wystawa konkursowa dzieł sztuki *Ornamentacyjnej i Dekoracyjnej*, a mianowicie: miniatur, emalii, malowania na szkłe, porcelanie i fajansie, sztychów i akwafort, drzeworytów, litografii i wszelkich reprodukcji ręcznych, niemniej wszelkiego rodzaju ornamentacyi. Przyjmowanie deklaracyi do dnia 1-go Października; nadsyłanie przedmiotów od 1-go do 10-go Października; otwarcie wystawy 15-go Października. Komitet wyznaczył dla tej Wystawy sześć nagród pieniężnych, z których trzy po rubli 100 i trzy po rubli 50 za dzieła bezwarunkowo odznaczające się. Obok tego wydawane będą Listy pochwalne. — Regulamin szczegółowy konkursu wydaje, na żądanie, kancelarya Towarzystwa.

## OD WYDAWCY.

„Bluszcz” w przyszłym kwartale wychodzić będzie pod dotychczasową redakcyą.

Szanownym prenumeratorom z prowincyi przypominamy wczesne wznowienie prenumeraty, dla uniknięcia zwłoki w przesyłce numerów.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się Arkusz 20-ty i 21-szy powieści pod tytułem: **Stargane życie**, przez Florentynę Marryat.

**TREŚĆ:** Raptularz Jana Czeczota. Szkice literackie Józefa H. Rychtera. — Wystawa pracy kobiecej przez Maryą Ilnicką. — Słowa a czyny, powieść przez Sewera. — Jan Rowland Stanley. — Przegląd Piśmienniczy, przez St. Krzemińskiego. — Z bieżącej chwili. — Myśli przez M. I.

**Dodatek obejmuje:** Arkusz 20-ty i 21-szy powieści pod tytułem: **Stargane życie**, przez Florentynę Marryat. — Przegląd mód. — 23 wzorów ubiorów i robót z opisem. — **Sekrety gospodarskie.** — **Dyspozycya stołu.**